

















*Juljusz Kaden Bandrowski*

# NAD BRZEGIEM WIELKIEJ RZEKI



*Nakładem Zakładu Narodowego  
im. Ossolińskich.*





*NAD BRZEGIEM  
WIELKIEJ RZEKI*







JULJUSZ KADEN BANDROWSKI

*NAD BRZEGIEM  
WIELKIEJ RZEKI*

INSTITUT  
BADAŃ LITERATYKICH I FOLKOWYCH  
BIBLIOTEKA  
00-531 Warszawa, ul. Nowy Świat 73  
Tel. 26-68-69



---

LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW  
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE





F. 23751

---

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE  
POD ZARZĄDEM ADAMA WIERZBICKIEGO



*NAD BRZEGIEM  
WIELKIEJ RZEKI*





*Cóż widzisz, przeczytawszy słowa: Nad brzegiem wielkiej rzeki?*

*Widzisz jakoweś zarośla, haszcze, splątane ścieżki, u góry niebo, u stóp fale wzburzone, które pędzą ku krańcom szeroko rozpostartego widoku.*

*Przypuszczasz, że rozegra się tu dziwna, lub może nawet straszliwa historia? Może walczyć będą na tem miejscu jakieś dwa wrogie szczepy? Jedni drugim najadą ziemię, porwą córkę ukochaną, zabiorą syna, ścigać się będą, gonić, prześladować, tropić i ukrywać?*

*A może tu właśnie spotkają się i losy swe poróżnią dwaj bracia, — jeden oracz, gospodarz pracowity, — drugi żołnierz, włóczykij, pędziwiatr? Co jeden wybuduje, zbierze, to drugi roztrwoni. Miłość braterska będzie usiłowała godzić sprawy skłócone — i cóż z tego potem wyniknie i jakże to rozwiązać, — jak w końcu bratać ogień z wodą?*

*Nad Brzegiem Wielkiej Rzeki... Może nad tym brzegiem wyrośnie piękna, przezacna dziewczynka? Potem wywędruje stąd, wrogie siły zmówią się, by zmylić jej drogę... lecz ona, dziewczynina przezacna wszystko wkońcu siłą serca przemoże — i oto wraca do kraju swego, do Ojczyzny szczęśliwej, w lube strony młodości, bolejąca, lecz niezwykcieżona!*

*Jeszcze chwila uwagi, drogi czytelniku: Na stronicach, które ten wstęp poprzedza, rozegrają się rzeczy ważniejsze, niż walka dwóch szczepów, czy rodzin, ważniejsze, niż gdyby jedni ludzie drugim ziemię najechali, ważniejsze nawet od zgody między braćmi, czy też wygnanej przez zły los dziewczyny.*

*Na stronicach tych pod pozorem kilku błahych opowiadań zajrzysz w samą głęb duszy ludzkiej.*

*Z historii pod tytułem „Dokument“ osądzisz, — jak pracę należy szanować i kochać.*



Z historii pod tytułem: „Cyrk“ przekonasz się, co znaczy godność w walce i że niema na świecie pokonanych, gdy są szlachetni duchem.

Z wydarzenia pod tytułem „Strażacy“ wyniknie, — czem jest poczucie obowiązku i jak należy rozumieć je w niebezpieczeństwie.

Z przygody pod tytułem „Zabawa w Wojsko“ dowiesz się, — co jest na świecie ważniejsze, ilość, czy też jakość?...

Z opowiadania „Futrzanie Kołnierze“ wywnioskujesz, że zazwyczaj szukamy szczęścia daleko, podczas gdy czeka na nas blisko, lecz my wiedzieć o niem nie chcemy.

Ze wspomnień moich niedawnych o „Baśce“ osądzisz, co myślę o miłości Ojczyzny.

Patrząc na te wydarzenia, które nikłemi falami plotą się w nieprzerwaną ciągłość, czyż nie stoisz, jakgdyby nad brzegiem wielkiej rzeki, zapatrzony w światła przedziwne, zastuchany w jej szmery urocze?

Stoisz jeszcze na brzegu, — ja spory kawał drogi już przepłynąłem w swem życiu. Przyjmij tych kilka opowiadań, jako dorobek długiego, serdecznego doświadczenia.

Będę szczęśliwy, jeżeli kiedyś, gdy podrośniesz i znajdziesz się na rozstajnej drodze i szukać będziesz wyjścia, przypomnisz sobie, co mówiłem tu, w książeczce pod tytułem

### „NAD BRZEGIEM WIELKIEJ RZEKI“.

Będę szczęśliwy, gdy to, co tu pisałem, przyczyni się choć w części do wyboru, który zawsze trzeba robić między różnemi ścieżkami.

Gdybyś nawet rzeczywiście to lub owo zawdzięczał tym opowiadaniom, wiem, że nie zdążysz mi nigdy o tem powiedzieć. Będziesz wtedy czynnym, walczącym o swe cele człowiekiem, podczas gdy ja, wówczas już może starzec, grzać się będę beczynnie przy piecu.

To nic!

Zdarzenia, o których dowiadywać się będę wtedy już tylko może z gazet, powiedzą mi wyraźnie, że Wy, Młodzi, czytelnicy dawni naszych książek jesteście już dziesięć razy od nas starych mądrzejsi!

*DOKUMENT*





Nie wiem, jak jest teraz, wtedy, gdy chodziłem do szkoły ludowej, dostawaliśmy świadectwa co trzy miesiące, to znaczy co kwartał. Mam je dotąd, schowane w skrytce swego biurka. Leżą na samym dole. Na nich świadectwa gimnazjalne, uniwersyteckie, potem papiery wojskowe. Na samej górze spis osób, które tym samym, co ja, okrętem jechały do Ameryki.

Jako miłośnik podróży, chowam sobie ten spis na pamiątkę. Drukowany jest zielonemi czcionkami na kredowym papierze, ileż lepszym od moich starych świadectw. Niektóre trzeba było podkleić, gdyż inaczej dawnoby się już były rozleciały.

Dziś rano, szukając czegoś w biurku, znów na nie natrafiłem. Zaczynają się od klasy trzeciej, pierwszą i drugą przerabiałem w domu.

Mój Boże, co to znaczy dokument i to jeszcze — jak mawiał mój ojciec — pisany czarno na białem!

Nie pamiętam już, jak wyglądał nasz nauczyciel. Na pewno nie poznałbym go na ulicy. Musi być siwym staruszkiem. On też chyba mnie nie pamięta. Byłem wtedy małym chłopcem, teraz dawno jestem dorosłym. Zmieniliśmy się obaj, a dokument — proszę: pisany czarno na białem odrazu wszystko przypomina.

Siedzę przed otwartą szufladą mego biurka i przeglądam te pierwsze świadectwa, pokolei od samego spodu.

Kwartał pierwszy: Obyczaj „wzorowe“, pilność „bardzo dobra“. Ze wszystkich przedmiotów „bardzo dobrze“.

Mieszkaliśmy wtedy w małym miasteczku. Gdy wracałem do domu z tem świadectwem, miasto nasze wydawało mi się najpiękniejszym na świecie. Okna domów i wszystkie sklepy, i cukierki na wystawie u kupca, i wydrukowane na ogromnym arkuszu głowy ślicznie zaczesanych panów u fryzjera, i buciki, stojące u pana Wyderki, naszego szewca, na aksamitnej podściółce jakby się śmiały do mnie.

Zadzwoiłem do drzwi trzy razy na znak zwycięstwa. Ojciec siedział przy stole i czytał gazetę. Spostrzegłszy mnie, zapytał: — No i cóż?

Uśmiechnąłem się dumnie i położyłem mu na kolanach cały tornister. Ze wszystkim. Jakby książki, rzemienie, ołówek, pióro, zeszyty, wszystko razem należało do świadectwa.



Przeczytał uważnie cały arkusz, od góry do dołu i zawołał: — Nie może być żadnych wątpliwości. Wspaniały dokument, wszystko jasne, czarno na białem wypisane.

Była z tego w domu wielka radość, wieczorem dostałem na pamiątkę politurowany piórnik.

Kwartal drugi nie był już tak świetny. Obyczaje nie wzorowe, ale, niestety, tylko dobre. Pilność — zaledwie dość dobra. Z przedmiotów nigdzie niema ukochanego „bardzo“, lecz tylko „dobrze“. Z rachunków — dostatecznie.

Gdy przyszedłem do domu, rodzice stali przy oknie, bo padał gęsty śnieg. Ojciec odwrócił się i zawołał wesoło: — No i cóż?!

Nie oddałem mu już całego tornistra. Wyszukałem skrzętnie, i wyciągnąwszy z zeszytu, podałem samo świadectwo.

Ojciec wziął mamę za rękę i zawołał: — A więc czytamy.

Usiedli na fotelach naprzeciw siebie, stałem w środku między rodzicami. Ojciec czytał głośno od obyczajów wdół aż do rysunków i kaligrafji coraz wyżej podnosząc brwi. Przy „dostatecznie“ z rachunków brwi mu się zmarszczyły, po rysunkach i kaligrafji wykrzyknął nagle: — Ba, a cóż to takiego?

Było tam napisane w uwagach: „Lubi się bawić na godzinach“.

Nie mogliśmy usiąść do obiadu, gdyż nastąpiła przemowa. Mama chciała mnie pogłaskać, ale ojciec powiedział: — Zostaw go. To wszystko wcale nie jest takie przyjemne, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. Wcale nie świetny dokument.

Ojciec mówił długo, uważając, że z mego świadectwa wszystko da się wyczytać, jak z nut. Kto się bawi na godzinach, ten nie wie, co się dzieje w szkole, kto nie wie, co się dzieje, ten nie może umieć przedmiotów, i tak dalej.

Było mi bardzo przykro, ale tylko przez pierwszych parę dni pamiętałem o tej przemowie. Potem zapomniałem i wszystko zaczęło iść znowu po dawnemu, to znaczy, coraz gorzej.

Był tu winien także i Matecki, który siedział obok mnie w klasie. Graliśmy z nim ciągle w pióra. Podczas rachunków wygrałem od niego aż trzy, duże sine, tak zwane „krokodyle“. Już miałem zdobyć czwartego, a tu nagle od tablicy pytanie:

— W takim razie zostaje nam z dzielenia? — pan nauczyciel do mnie — powiedz!

Nie wiem, o co chodzi, — nie wiedziałem nawet, że coś tam dzielić. Żle.

Z Mateckim graliśmy w pióra, z Bazińskim zbieraliśmy marki.

I znowu: Ja tu akurat wymieniam moje Cejlony za jedną śliczną starą Gwineję, tymczasem pan nauczyciel z katedry woła: — Czytaj dalej!

Nie wiem, o co chodzi, — nie wiedziałem nawet, że coś tam czytają.

— Żle. — Siadaj, nie uważasz.

Musiało się tego dość dużo nabierać, bo gdyśmy przypadkiem spotkali się u naszego szewca, pana Wyderki — nazwisko miał wymalowane czarnymi







literami na czerwonej blasze nad oknem sutereny — zaczął nasz nauczyciel rozmawiać z ojcem na boku.

Stary szewc bez kapoty, w kamizelce, z zakasanymi rękawami, klepie skórę młotkiem, pomocnicy siedzą na zydelkach i pilnie szyją, hałas, stukot okrutny, a nauczyciel z ojcem patrzają na mnie i mówią sobie do ucha.

Gdy ustało klepanie, usłyszałem ostatnie słowa: — Teraz nic się nie uczy.

Ojciec westchnął. Zdało mi się, że w ten sposób przebacza mi to „złe uczenie“, więc oglądałem sobie dalej spokojnie warsztat pana Wyderki.

Było tam wiele przyrządów, które chciałbym mieć. Na stole między zydlami małe, białe kołeczki drewniane w blaszanym pudełeczku. Przydałyby się z pewnością. W papierowej tubce małe złote gwoździki. Można by nimi poprzybijać mnóstwo rzeczy. Garnuszek kleju zaraz obok zaświeconej lampy. Musiał być doskonały, — pachniał, aż w nosie wierciło. Takim klejem podkleić papierzanych żołnierzy — trzymałoby się, jak mur! A co młotków, pilników, szydeł, rozmaitych dłótek?!

W innym pudełku z brzoza leżały białe, konopiane nici. Coby z tego można wyrabiać?!

Możnaby ich używać do jakiegoś pakowania, możnaby z nich wystrzepić siwe wasy i wspaniałą brodę dla świętego Mikołaja.

Były tu więc rzeczy, które w owym czasie nazywaliśmy poprostu skarbami.

Nikt się nimi w warsztacie nie cieszył. Pomocnik pana Wyderki wbijał kołeczki drewniane w podeszew, a jak się który zagiął, wyłamywał i rzucał na podłogę. Drugi pomocnik trzymał gwoździki w ustach. Bardzo mi się to podobało, ale ojciec, który był doktorem, zauważył: — Czy musi pan te gwoździe trzymać koniecznie w zębach? To tak niezdrowo!

W odpowiedzi pomocnik poruszył tylko wargami. Wbijał te ówieczki w wysoki damski obcas równiutko dookoła, że z czarnej skóry błyszczały wianuszkami złotych oczek.

Nici konopianych, za które oddałbym chętnie dwa pióra krokodyla, może nawet trzy, także nie szanowali. Mały chłopczyna, w moim wieku, suwał je na swym wyświechtanym fartuchu, skręcał, smarował smołą i szył nimi mały bucik dziecinny.

— Jak się nazywasz? — spytałem chłopca.

Nie odpowiedział.

Wobec tego spytałem, dlaczego macza nici w smole?

— To dratew, — mruknął i szył dalej na niskim zydelku. Bucik trzymał między kolanami, ręce miał aż czarne od dratwy i szył do góry i w dół, że mu skakały prędko, jak na sprężynach.

— Dam ci pióro, a ty mi daj trochę gwoździków. — Niestety było już za późno. Ojciec pożegnał się z profesorem, spytał, na kiedy będą nasze trzewiki i „żeby już na pewno“, — podał rękę panu Wyderce i poszliśmy schodkami na górę.

Padał taki śnieg, że się aż cicho zrobiło na ulicach.



W różowym świetle apteki spytał ojciec, cobym powiedział, gdyby mnie oddał do szewca?

Odpowiedziałem, że bardzobym się cieszył.

— Ha, to doskonałe.

— Dlaczego?

— Mój kochany! — „Mój kochany“ było zawsze wstępem do dłuższej rozmowy. — Pocóż masz zajmować miejsce w szkole? Nie uczysz się. Nie uważasz. Bawisz się na godzinach. Na pewno znalazłby się w naszym mieście jakiś inny chłopaczek, któryby na twoim miejscu o wiele lepiej pracował.

Przemowa trwała od apteki, przez całą ulicę Świętojańską, koło naszej szkoły, stojącej w zaśniewanym ogrodzie, aż do samego domu.

Ale cóż! Matecki dostał nowy „marnik“, a Baziński z ostatniej ławki pokazał pewien rzadki Trypolis i dwa Sudany, których nie miał nikt w całej klasie. Dawałem mu za Trypolis wszystkie moje najlepiej ujeżdżone pióra-krokodyle.

Nie chciał.

Wszystko szło coraz gorzej i gorzej, ojciec coraz częściej powtarzał, że moje miejsce nie powinno być w szkole, ale u pana Wyderki. Z początku mówił — u pana Wyderki. Potem u pana Wyderki na zydłu. Potem, gdy już było całkiem źle: — Oddam cię do szewca.

Było mi żal, ale nie martwiłem się zanadto. Cóż wielkiego? U pana Wyderki nie będę się musiał uczyć tylu nudnych rzeczy. Raz nawet odpowiedziałem ojcu:

— Będę doskonałym szewcem.

I tak przyszedł nareszcie ów nieszczęsny dzień marcowy, w którym dostałem świadectwo za kwartał trzeci.

Trzymam je teraz nad szufladą, jeszcze dziś nosi ślady moich łez.

Długi spis stopni zaczynał się, jak zawsze, od obyczajów. Były tym razem — „nieodpowiednie“. Wracalem do domu, papier ten ciążył mi w tornistrze, jak kamień. Na ulicach leżało rozmokłe błoto marcowe, padał deszcz. Wszystkie okna były zapocone, — jakby całe miasto wiedziało już wszystko.

Matecki miał lepsze świadectwo ode mnie, Bazińskiego pochwalił nauczyciel.

U ojca byli na szczęście jeszcze chorzy. Mama tylko spytała: — No i cóż?

Udałem, że nie słyszę.

— Jakto, więc nie macie dzisiaj świadectw?!

Rozplakałem się. Poszliśmy razem do przedpokoju, tam bowiem zostawiłem tornister, pod lustrem. Mama przeczytała i rzekła: — Nic ci nie mogę pomóc. Dokument ten pokażesz ojcu sam.

Stało się to po obiedzie. Ojciec przeczytał i rzekł: — Spakuj książki. Oddamy je do biblioteki szkolnej. Tobie już nie będą potrzebne. O szóstej pójdziemy do pana Wyderki. Będziesz się uczył szewstwa. — Wstał, podziękował mamie za obiad i poszedł do chorych.

Usiadłem na kanapie, żeby się namyślić. Nie wiem, jak długo myślałem. Już mrok zapadał, rynny wciąż brzęczały od deszczu. Płakałem. Tak mi było żal książek, naszej klasy i wszystkich.

O godzinie szóstej poszliśmy. Ojciec rzekł koło apteki: — Sądę, że pan Wyderko będzie zadowolony. Wszyscy szewcy mają teraz wszędzie masę roboty.

Rzeczywiście bardzo się ucieszył. Gdy ojciec powiedział: — Przyprowadzam panu do terminu ucznia — pan Wyderko powiedział: — W to mi graj. Bo już sobie, panie doktorze, ręce po łokcie urabiamy.

Spytałem ojca nieśmiało, po raz ostatni — co będzie z moimi książkami?...

Wyjaśnił mi, że tu zostaną, a on na powrotnej drodze odniesie je do szkoły. — Tymczasem — zakończył — bierzno się do roboty, może ci tu lepiej pójdzie niż tam.

Nie było to wszystko wcale takie łatwe. Na zydelku — za nisko. Kolana mi sterczały wyżej głowy. Na krześle za wysoko. I niewygodnie!

Dali mi na początek coś bardzo łatwego. Skórę do wyklepania. Wyciągnęli ją z wiadra, gdzie się właśnie moczyła, położyli na gładkim kamieniu. Namoczona być musi, żeby była giętka, a znowu wyklepana, żeby w sobie wody nie miała.

— Musi być w samo prawie, — westchnął p. Wyderko, — inaczej zaraz się rozlezie.

Rozmawiają sobie, jeden pomocnik kołeczkuje, drugi raszpilem trze szybko po bokach podeszwy, a ja siedzę, pocę się i klepię.

— Z takim klepaniem, mój chłopcze — woła pan Wyderko. Młotek mi odbiera i sam klepię — bah, bah!

Więc znów ja z całej siły, drzewce aż pali w rękę, a pan Wyderko do ojca:

— Nanie się, panie doktorze, zdało takie klepanie.

Co innego: — Dają mi konopiane nici, żeby dratwę skręcać. Ręce sobie całe smołą umazałem i zamiast nitki skręcam z tych konopi coś grubego, jak linę.

— To ma być, panie doktorze, dratów? — jęczy pan Wyderko.

Coś innego: — Gotową podeszew bucika tylko suknem wygładzić — „aby mocno do blasku“. Pokazują jak. Trzewik oprzeć o piersi, dobrze się nad nim skulić, kolanami z obu stron nacisnąć i suknem mocno, tam i napowrót — jazda!

Co się naprzód podam, to mi się kolana same rozstępują, co je ścisnę, to znów bucik skacze mi pod nos.

Obaj pomocnicy w śmiech, pan Wyderko przeciera sobie czoło i do mego ojca powiada: — Panie doktorze, jeżeli ten chłopak do nauki niechętny, to tu też nauka. Szewc, panie doktorze, z powietrza nie bierze.

Ja na zydlu w płacz, a ojciec na to: — Gdzież więc dla ciebie mam teraz szukać miejsca?!

Przeprosiliśmy pana Wyderkę, idziemy zpowrotem, myślę, — może do krawca?



Przed szkołą, nic nie mówiąc, rzuciłem się ojcu na szyję.

Odrzu zrozumiał, oddał mi moje książki, po krótkim namyśle przebaczył, a koło apteki oświadczył, że jeszcze ostatni kwartał zostawi mnie w szkole, na próbę.

W tym ostatnim kwartale miałem znów same „bardzo dobrze”. Był to już koniec roku szkolnego. Mama z ojcem czekała pod szkołą w cieniu rozkwitłych kasztanów. Gdyśmy wybiegli z bramy, mama wzięła ode mnie książki, ojciec pogłaskał po głowie. Szedłem bez kapelusza, z świadectwem w ręku, jak ze sztandarem. Po drodze wstąpiliśmy do pana Wyderki.

— Niechno pan przeczyta ten dokument — wołał już zdaleka ojciec.

Pan Wyderko zasmolonemi rękoma odgarnął sobie wąsy do czytania, a jego pomocnik darował mi pudełko świeżych, czystych kołeczków na pamiętkę.

Teraz po tylu, tylu latach, gdy oto siedzę nad otwartą szufladą i przeglądám pierwsze świadectwa, — jakbym znów widział sklep starego szewca, na półkach wszędzie mnóstwo różnych bucików, wobec których, niby przed tłumem stłoczonej publiczności, brzmią dobre, kochane słowa mego ojca:

— Niechno pan przeczyta ten dokument!

*CYRK*





Stało się to całkiem niespodziewanie. Pewnego dnia ukazały się na wszystkich murach, płotach, słupach naszego miasta i w sklepach i w księgarniach i w aptekach ogromne afisze z napisem: SIDOLI!

Mój starszy brat, Irzek, spostrzegłszy je, zawołał: — Patrz, jaki plakat! Na górze napisali: Sidoli.

Pod temi sześcioma olbrzymiemi literami wydrukowane było na błękitnem niebie mnóstwo obrazków. Lew, skaczący przez obręcz. Pani, cała, jak z lukru różowego, stojąca na siwym koniu. Kilku pajaców, którzy z cylindrami na nosach machają kozły w powietrzu. Pan we fraku, który paląc cygaro, siedzi na wieży z dwudziestu stołków. I wiele innych wspaniałych sztuk, a na dole plakatu drugi raz czerwonymi literami: SIDOLI.

W szkole zaraz po pierwszej godzinie, gdy przestał padać śnieg i zrobiło się słońce (działo się to wszystko w końcu marca), krzyknął Baziński z ostatniej ławki do pierwszej Faliszewskiemu: — Ty! Cyrk przyjechał, teraz już nie będzie zimy!

Podczas drugiej pauzy Baziński postawił krzesło na katedrze. Siadł wysoko na samej poręczy, paląc przytem ołówek, jak cygaro. Na trzeciej przerwie Faliszewski przyniósł obręcz z zeschniętej beczki, która stała pod rynną na podwórzu i skakaliśmy.

Mateckiemu koniec tej obręczy mało nie wydziobał oka.

Gdy po nauce wychodziliśmy parami przez długą sień, rozległo się w całym korytarzu jedno jedyne słowo: — Sidoli.

Gdyśmy wracali do domu pokazały się obok tamtych afiszów drugie, jeszcze większe z napisem: FRANCUSKA WALKA.

Pod słowami temi wydrukowani byli atleci. Mieli na rękach i nogach muskuły nie mniejsze od gór na naszej mapie Europy.

Coś strasznego...

— Przyjechał cyrk! — krzyknęliśmy w domu zaraz w przedpokoju. — Co to znaczy Sidoli?!

— Nic nie znaczy. — Ojciec wzruszył ramionami. — Sidoli, czy Ciniselli. Wszystko jedno. Włoskie nazwisko.

— Dlaczego w takim razie Sidoli, a nie na przykład Ridoli?



— Gdyby Baziński, — roześmiał się ojciec, — miał cyrk, byłoby jego nazwisko wydrukowane, jak „Sidoli“ i jakiś inny chłopak pytałby znów swego ojca, dajmy na to we Włoszech, co to znaczy „Baziński?“ Rozumiesz teraz?

Powiedzieliśmy, że rozumiemy, ale nie uwierzyliśmy. Sidoli — i Baziński — ładne porównanie!

Z rozmowy tej wyłoniła się odrazu druga sprawa. Kiedy pójdziemy do cyrku? Ojciec odpowiedział, że mamy jeszcze czas. Nam się zdawało, że niema jednej chwili do stracenia, ale, oczywiście, nie powiedzieliśmy tego.

Tego samego wieczora zrobiliśmy sobie cyrk w domu. Jeździliśmy stojąco na krzesłach. W szkole podczas przerw był też ciągły cyrk.

W poniedziałek rano opowiedział nam wszystko Baziński, który *tam* był z rodzicami w niedzielę. Trudno było zrozumieć, co opowiadał, ale wszyscy byli zachwyceni. Mówił, jakby po angielsku. Sypał wciąż słowa, — rek, clown, salto mortale, żongler, żonglerować, bój, amazonka, woltyżer.

Opowiadanie swoje zakończył prawdziwym cyrkowym okrzykiem: — Eja hop!!...

Wieczorem tego dnia włączyliśmy „cyrkowo“ na poręcz łóżka. Skakało się stamtąd na arenę. Areną były zwalone na podłogę poduszki; właśnie tego wieczora przewlekano u nas pościel. Skok był niebezpieczny, ale się zawsze udawał.

W szkole był Baziński naszym Sidolim. Matecki rzucał piłki. We wtorek, przed religią powiedział, że na przyszły rok sam wstąpi do cyrku. Na wszystkich przerwach ćwiczył się w rzucaniu. Nikt nie śmiał mu przeszkadzać.

Podczas obiadu mój starszy brat, Irzek, powiedział, niby przypadkiem: Matecki wstępuje do cyrku.

Miało to znaczyć, że jeżeli Matecki aż wstępuje, to my moglibyśmy przynajmniej raz pójść.

Ojciec odpowiedział na to: Ba!

Co mogło znaczyć takie — „ba“?...

Tymczasem stała się rzecz, która nawet naszego ojca i wogóle rodziców i wogóle wszystkich przekonała. Ukazały się znowu ogromne afisze, na których były tylko trzy słowa. Stawali przed nimi wszyscy i czytali, jakby tam było wydrukowane całe opowiadanie: PYTLASIŃSKI PRZYJEŻDŻA W KWIETNIU!

— Przyjazd Pytłasińskiego, przyjazd tak wspaniałego atlety, i to polskiego, posuwa sprawę cyrku bardzo poważnie naprzód — rzekł ojciec na spacerze.

Z wdzięczności nazwaliśmy Pytłasińskiego odrazu „naszym Pytłasem“. Miał walczyć z całym szeregiem siłaczy na walkę francuską. Kto kogo pokona, żeby położyć na obie łopatki i tak dotrzymać dziesięć sekund.

Baziński, pozostając w klasie Sidolim, stał się jednocześnie Pytłasińskim. Chodził do cyrku codziennie i znał się na walce francuskiej doskonale.

Podczas wszystkich przerw walczyliśmy w klasie. Potem w domu z bratem.

Baziński opowiadał, że „nasz Pytłas“ kładzie siłaczy wszystkich narodowości świata, jak zapałki. Jeżeli się trochę boi, to tylko jednego Szwajcara Neumana.







Baziński pokazywał, jakie ma mięsy Neuman, a jakie Pytłasiński. Dla Pytłasa napręzał z całych sił, dla Neumana tylko do połowy.

— Ale — dodawał, — co nas bardzo martwiło, — tu jeszcze dochodzi także zrzeczność...

Okazało się, że nasz ojciec też się na siłaczach zna. Gdy przyszła gazeta, stworzył szybko na ostatniej stronie i rzekł głośno do mamy: — No, no, Neuman w podnoszeniu ciężarów nie ustępuje wcale Pytłasińskiemu.

Rzuciliśmy się wtedy ojcu na szyję z okrzykiem: — Do cyrku!

Złożył gazetę, powiedział: — A więc dobrze, — i następnego dnia poszliśmy.

Na ulicy „cyrkowej“ daliśmy sobie z bratem słowo honoru i to prawdziwe, że jeżeli nasz Pytłas przegra, nigdy w życiu więcej do cyrku nie pójdziemy. Trzeba przyznać, że zaraz przy wejściu zapomnieliśmy o Pytłasiu, o Neumanie i o wszystkim, bo „straszenie“ nam się podobał sam cyrk.

Pachniał. Niby kołmi, niby wsią, niby cukierkami. Arena była w środku, naturalnie, okrągła, posypana piaskiem. Dookoła barjera, pomalowana na srebrno. Na wszystkich galerjach, aż pod sufity, ludzi i ludzi, bez końca.

Przedstawienie zaczęło się od muzyki. Grała tak prędko, że się żałowało, iż nie można biegać dookoła areny. Potem otworzyły się wrota i wyskoczyły z nich amazonki na koniach. Siedzieliśmy tak blisko, że z pod kopyt leciał na nas piach.

Jedną grudkę, która mnie uderzyła w rękaw, schowałem sobie do kieszeni. Co tam było wszystkiego!

Żonglerzy, gimnastycy na rekach, trzy siostry na trapezach.

Mama nie chciała patrzeć, mimo, że miały nad areną rozesłaną siatkę.

Podczas przerwy poszliśmy do stajen.

Był tu lew dziki, niedźwiedź brunatny, dużo psów w ślicznych płaszczkach aksamitnych. Irzek mówił, że są mądre co najmniej, jak ludzie. Słowo „co najmniej“ powtórzył dwa razy.

Konie, kucyki, osiołki. Dawało się im marchew. Na żadnych imieninach nie bawiliśmy się, jak w tej cirkowej stajni. Irzek mówił, że to, że zwierzęta nie mówią, niczego nie dowodzi, bo na pewno wszystko pamiętają.

Zaczęto dzwonić, wróciliśmy na nasze miejsca. Ojciec poprawił się na krześle i westchnął: — No, teraz czas na naszego Pytłasa.

Irzka i mnie odrazu ciarki przeszły. Zapomnieliśmy o tej walce!

Orkiestra zaczęła grać marsza Sokołów. Po chwili rozchyliły się kotary i wyszedł z nich — sam Pytłasiński. Był w czarnych trykotach, miał przez piersi białą-czerwoną wstęgę. Kolor Polski.

Cały cyrk krzychał z radości i bił brawo.

Irzek ścisnął mnie za rękę i szepnął: — On zwycięży.

Jeszcze brawo waliło naszemu Pytłasowi, gdy orkiestra zaczęła grać coś szwajcarskiego. Znowu się rozchyliły kotary, z których wyszedł — Neuman.

Miał przez piersi na czerwonej wstędze biały krzyż, godło Szwajcarii. Neuman był bardzo piękny, w cielistych trykotach, ale brawo dostał niewielkie.



Życzyłem mu wszystkiego najgorszego.

— Czy on zwycięży?

Ojciec pochylił się ku mnie i odrzekł: — Nic nie wiadomo. — Ojciec był niespokojny, zagryzł wąsa, widziałem przecie.

Tymczasem tamci podali sobie ręce. Muzyka ucichła. Ledwie coś trochę brzęczało.

Zaczęła się walka.

Nie wiedziałem, co robić, gdzie się podziać. Życzyłem szczęścia tylko naszemu Pytlasowi, ale trudno! Szwajcar był bardzo ładny i walczył dzielnie. Chwytał się rękami, jakoś bardzo mądrze i już już ma go położyć na łopatki, tymczasem tamten wyślizgnął się i znów wszystko nanie.

Ojciec patrzył zmrużonemi oczyma, już oba wąsy miał mocno przygryzione. W pewnej chwili mruknął: — Nic nie można powiedzieć, Szwajcar walczy bardzo szlachetnie.

Zimno nam się zrobiło od tych słów. Chwyciłem mamę za rękaw i szepnąłem: — Niech nikt nie zwycięży.

— To niemożliwe. — Potrząsnęła żałośnie głową.

Walczyli już trzydzieści minut. Przez tych trzydzieści minut, jakby w całym cyrku nikt nie oddychał, tak było cicho. Raz tylko, gdy Pytlasiński prawie miał zwyciężyć, huknęło brawo. Ale Neuman wyskoczył z niebezpiecznego uścisku. I drugi raz, gdy już miał zwyciężać Neuman, krzyknął ktoś na galerji: — Nie mogę !!!

Po krótkiej przerwie zaczęli na nowo. Bałem się patrzeć. Siedziałem przeważnie z zamkniętymi oczami, pytając od czasu do czasu, czy już? Co będzie, jeśli Szwajcarzy nas pokonają?!

Tak, jakby za wszystkich Polaków walczył na arenie nasz Pytlas przeciw wszystkim Szwajcarom, których bronił Neuman.

Gdy nagle cały cyrk wybuchł jednym głosem ogromnej radości!

Otwarłem oczy.

Neuman leżał na arenie. Obie jego łopatki dotykały piasku. Pan sędzia w czarnym surducie patrzył na zegarek. Widać było z ruchu warg, że liczy sekundy. Pytlasiński spokojnie, choć mu drżały wszystkie żyły na ramionach, przytrzymywał barki Neumana.

Ludzie krzyczeli nieustannie z galerji, z wszystkich pięter. Wśród huku oklasków wpadli na arenę. Pochwycili naszego Pytlasa i nieśli dookoła krzesel wołając: — Hurra! Zwycięstwo! Niech żyje Pytlasiński!

Ja też wołałem z całych sił, póki przypadkiem nie spojrzałem na arenę. Stał tam jeszcze Neuman. Zaraz przy barjerze dwóch panów otrząpywało mu białą chusteczką zawałane piaskiem łopatki. Był blady, dyszał głęboko.

Pociągnąłem mamę za rękaw i w ogłuszającym hałasie krzyknąłem jej do ucha: — Co teraz będzie? Żal mi Neumana!...

Zaczęła coś mówić, było już za późno, rozplakałem się.

— Nie płacz. — Ojciec wziął mnie za rękę. — Zaraz się to wszystko wyjaśni.

Poprowadził nas przez otwartą barjerę na arenę, mówiąc po drodze: — Powiemy panu Neumanowi, że walczył bardzo dzielnie i że zyskał sobie tutaj przyjaciół.

Tak się stało. Ojciec podszedł całkiem blisko, przywitał się z panem Neumanem po niemiecku, czy francusku, — nie znałem się wtedy na językach, — i zaczął mu to wszystko opowiadać. Trzymał mnie przytem za rękę.

Wstydzilem się i nie wiedziałem, gdzie patrzeć. Czy na naszego Pytłasa, którego jacyś panowie nieśli wzdłuż galerji, już pod samym sufitem, czy na dzielnego Szwajcara?

Nagle twarz pana Neumana rozjaśnił uśmiech, którego nigdy nie zapomnę. Uśmiech — śliczny.

Wspaniały atleta pochylił się ku mnie i obiema dłońmi ucisnął obie moje ręce. W jego ogromnych pięściach moje wydały się małe, jak orzechy. Spytał o coś ojca i z trudem, — bo ciągle jeszcze krzyczeli na galerjach, — powiedział mi do ucha łamaną polszczyzną: — Dziękuję.

— Nie martw się, — dodała mama, gdyśmy już wychodzili z cyrku, — kto walczy szlachetnie do końca, nigdy żadnej przegranej nie potrzebuje się wstydzić.





## *STRAŻACY*







Czekaliśmy z kolacją i nie mogliśmy się doczekać. Nareszcie rozległ się dzwonek, wszyscy razem wybiegliśmy z lampą do przedpokoju. Ukazał się ojciec, w zaśniewionem futrze, z ośnieżonemi wąsami.

— Dlaczegoż tak późno?! — westchnęła mama.

— Trudno, niema rady, — odpowiedział, zdejmując kalosze, — zostałem prezesem.

— Jeszcze ci tego brakowało! — Mama była widocznie niezadowolona. — Wszystko dawno wystygło.

Dopiero przy kolacji dowiedzieliśmy się, czego prezesem został ojciec.

— Czy to wogóle wypada, — spytała mama, składając serwetki, — ażeby poważny człowiek, doktor, zostawał prezesem straży ogniowej w jakimś tam Skrzybowie?

Gdy była niezadowolona, dodawała zawsze do nazwy naszego miasteczka słowo „jakiś tam“.

Mój starszy brat, Irzek, podniósł rękę do góry i wykrzyknął: — Straż ogniowa!

Z tego okrzyku odrazu domyśleliśmy się, że to rzecz wspaniała.

Na to mama do ojca:

— Nie będziesz się przecież wspinać po drabinach?

Ojciec z początku — nic, potem dodał krótko: — Ha, trudno!

Żal go nam było. Wierzyliśmy, że dla mamy gotów się poświęcić i nie wspinać się wcale. Z drugiej strony szkoda, na pewno wspinałby się świetnie. Tak samo, jak na majówkach, podczas wyścigów przybiegał zawsze pierwszy do mety przed naszym nauczycielem i aptekarzem — byłoby i z drabinami.

Następnego dnia był mróz. Prawie tyle stopni, ile jest w rozporządzeniu, by można nie iść do szkoły. Zostaliśmy w domu. Siedzieliśmy przy oknie od rana, Irzek żałował, że nie możemy powiedzieć w klasie o ojcu.

— Strażaków może być dużo, — twierdził, — ale prezes jest na pewno tylko jeden. Prezes dowodzi wszystkimi.

Jak zawsze, około godziny jedenastej otworzyła się furtka naszego ogrodu i wydeptaną w śniegu ścieżką zaczął iść nasz listonosz, Kowalski. Wchodził przez kuchnię. Stawał na słomiance, tupał, stękał, grzebał w skórzanej torbie,



która mu wisiała przez plecy, a mama mówiła przez ten czas: — Ciekawam, jak się dziś spisał pan Kowalski?

Po tem powiedzeniu podawał z torby gazetę albo listy i wołał przez duże wąsy takiego samego koloru, co torba: — Spisał się, proszę pani doktorowej, spisał.

Dziś też podał gazetę, ale potem zdjął czapkę z małą trąbką nad daszkiem i powiedział: — Ja do pana doktora, proszę pani. Do naszego pana prezesa.

— Widzisz! — wrzasnął Irzek.

Okrzyk ten znaczył, że już wszyscy „wiedzą o naszym ojcu“ w mieście.

Mama przeprowadziła Kowalskiego z kuchni przez całe mieszkanie do przedpokoju, mówiąc po drodze: — Że też to i Kowalskiemu strzeliło do głowy na stare lata?! Zabłóci mi pan wszystkie podłogi.

Pocałował mamę w rękę i odpowiedział: — A panu doktorowi nie strzeliło?...

Siedliśmy z Irzkiem w przedpokoju na kufrze i czekaliśmy, co z tego wyjdzie dalej. Wyszedł ojciec w białym fartuchu, bo przyjmował chorych.

— Widzę — rzekł odrazu — że nasza poczta ma się doskonale. Więc co, panie Kowalski? Kto choruje? Żona? Dzieci?

— Proszę pana prezesa, — rzekł uroczyście listonosz — ja się melduję do straży ogniowej.

— Bardzo pięknie. — Ojciec podziękował, ale dodał „nawiasem“, że do straży potrzeba ludzi młodych, krzepkich. — Wyście człowiek sterany i dzieciaty.

Kowalski nie dał ojcu skończyć. Uderzył się w piersi i zawołał: — Panie prezesie, — obowiązek!

Ojciec wzruszył ramionami, potem zgodził się, wypuścił Kowalskiego frontem, nam kazał wyjść do jadalni, abyśmy się nie zaziębili w przedpokoju, tak że dopiero z jadalni usłyszeliśmy ostatnie słowa ojca do listonosza.

— Swoją drogą, nazywajcie mnie po staremu doktorem, a nie żadnym prezesem.

Dlaczego wołał być doktorem?

Straży ogniowej powodziło się coraz lepiej. Ciągłe musiał ktoś dla niej coś robić. Ojciec powtarzał przytem srogo: — Bez żadnego gadania! To trudno. Zaczęło się, jakby nic — od orkiestry.

Pewnego popołudnia, gdyśmy razem szli na wizytę, mama zatrzymała się nagle koło magistratu. Wskazując oczami okna pierwszego piętra, spytała: — Cóż to za straszne dźwięki?

Ojciec odpowiedział spokojnie: — Zobaczysz, — orkiestra. Brak im jeszcze tylko hełmów.

Mama westchnęła żałośnie, tymczasem wnet okazało się, że nie miała racji. W sobotę po południu ojciec wrócił nagle skądś i powiedział zaraz w przedpokoju: — Hełmy są.







Tego samego dnia, a już wiosna była, stał się z powodu tych hełmów cały wypadek. Pierwszy raz w życiu wyszedł z naszego magistratu na miasto Kowalski — w strażackim kasku.

Widzieliśmy z okna całą gromadę chłopców, którzy lecieli za nim i rzucaли kamieniami. Niósł w ręku czarne, lakierowane pudło, jakby do męskiego kapelusza. Gromadka chłopców zatrzymała się przed naszymi sztachetami. Nasz stary woziwoda, zobaczywszy Kowalskiego w hełmie, splunął, kucharka Filipina roześmiała się na cały głos.

Kowalski — nic, jak mur. Hełm mu zachodził głęboko na czoło, tylko wąsy sterczały z pod daszka. My też w pierwszej chwili zaczęliśmy „ryczeć“ ze śmiechu.

Na to nadszedł ojciec, w czarnym ubraniu, bo się gdzieś wybierał na miasto:

— Co to za głupie hałasy?! — Kazał się każdemu „zająć swoją robotą, patrzeć swego nosa“, otworzył lakierowane pudełko, wyjął hełm w białej bibułce i przymierzył przed lustrem.

Wyglądał, — jak Sobieski. Mimo to mama strzepnęła rękami z okrzykiem: — Nie będziesz przecież tak chodził po mieście?!

Ojciec popatrzył na nią, potem podał rękę Kowalskiemu i rzekł: — Dziękuję, — panie plutonowy.

Kowalski przyłożył rękę do daszka: — Tak jest, panie prezesie. — Za sztachetami znów go obskoczyli chłopcy z wielkim gwizdem. Szedł prosto przed siebie, jakby nic nie słyszał.

Gdy skręcał w ulicę Moniuszki, rzekł Irzek: — To będą Rzymianie...

Nie pomylił się. W następną niedzielę odprawili ogromne nabożeństwo, wystąpił sztandar strażacki, potem przechodził pochód. Cała orkiestra w hełmach. Kapelmistrzem był nasz nauczyciel. Dyrygował złożoną maczugą. Zaraz za nim szedł listonosz Kowalski. Nie niósł żadnej torby z listami, lecz olbrzymi bęben, w który walił bez miłosierdzia.

— Kowalski grzmi aż miło, — powiedział aptekarz do mamy.

Na czele kroczył naturalnie ojciec w czarnym surducie, z kwiatami przy klapie i w hełmie.

Irzek wrzasnął dwa razy — niech żyją Rzymianie, — za trzecim razem mama mu nagle zakazała. Mimo ślicznej pogody, uroczystości, pochodu była bardzo niezadowolona. Powiedziała wprost: — Marzę tylko, aby się ten dzień skończył nareszcie.

— Hełm i czarny surdut, — westchnęła, — to okropne.

Na szczęście dzień ten trwał, jakby dwa razy dłużej od innych. Wieczorem odbył się znów pochód i uroczyste ćwiczenia, zakończone sztucznym pożarem. Okazało się, że strażacy wybudowali sobie drewnianą wieżę na błoniu przy magistracie. Miała dwa piętra, na każdym cztery okna, w cztery strony świata, z których wypatrywało się ognia.

Po zachodzie słońca, kiedy można już było uważać, że zapanowała noc, wytrysnęły z wieży fajerwerki. Z samego szczytu rakiety, w oknach złote deszcze chińskie i młynki. Oznaczało to pożar.



Zdaleka rozległ się głos trąbki, zadudniły magistrackie bułany. Przed wieżę podjechały z dzwonieniem łańcuchów dwie nowe sikawki mosiężne. Na drugiej jechał Kowalski, wąsy mu sterczały z pod hełmu. Nasz nauczyciel był dowódcą, wszyscy mieli topory. Przyskoczyli z różnych stron do wieży, wydawali rozkazy, Kowalski straszliwie srogo, ale wszystkich przekrzyczał nasz ojciec, zawoławszy piorunującym głosem: — Do pomp!!!

Nikt się nie ruszył. Wtedy ojciec wystąpił i odsunawszy hełm nabakier, wytłumaczył publiczności, że jak strażak ma obowiązek śpieszyć, nawet płonący dom przepatrzyć, czy tam nie zostało jakieś „żywe“, istnienie, tak każdy obywatel ma w czasie pożaru obowiązek pośpieszyć do pomp.

Okazało się przytem, że ojciec, jako prezes, ma prawo każdego spotkanego i wogóle ludność, wszystkich wołać do pomp.

Tymczasem strażacy już stukali toporami w wieżę, Kowalski i trzech innych z czterech stron wspięli się po drabinach, aby ratować ginącego „na niby“ w pożarze człowieka.

— Wszystko jedno, objaśnił nam aptekarz, — człowieka, kobietę, lub dziecko. Najczęściej nawet bywa dziecko.

Pożar udał się znakomicie. Na drugi dzień przyszedł Kowalski, jak zwykle koło jedenastej. Wierzyć się nam nie chciało, że to ten sam zwykły człowiek, listonosz, który był wczoraj tak dzielny plutonowym.

Jak zawsze grzebał w torbie na słomiance. Mimo, że dał trzy listy, mama nie zapytała go — jak się też dziś spisał? Była obrażona. Powiedziała krótko: — Dziękuję.

Westchnął i sam zaczął: — Ale udało się wczoraj, proszę pani prezesowej?!

Mruknęła, — et, — że nie jest żadną prezesową — i koniec.

Wcale się na tem nie skończyło. Tuż przed wakacjami, w czerwcu miała być druga uroczystość. Niewiadomo dokładnie, jaka? Uczyliśmy się do niej pewnego hymnu, który razem z orkiestrą strażacką mieliśmy śpiewać pod dowództwem naszego nauczyciela.

Okna klasy były otwarte, śpiewamy, — coś jest złe, — przestajemy, — znowu zaczynamy.

Zdaleka słyhać nagle, jakby szum, bójkę — i nic.

Znów jest coś złe, przestajemy, — tymczasem zdaleka słyhać dwa razy więcej i gwar i piski i wrzaski. Znowu zaczynamy hymn, aż tu wpada nasz stróż, ślepy na jedno oko i krzyczy w progę, — pali się! W mieście pożar!!

Nauczyciel rzucił swą pałeczkę — podczas uroczystości obiecał dyrygować złotą maczugą, — krzyknął: — Zaczekajcie spokojnie! — i wybiegł.

Czekamy, na mieście krzyk się wzmaga, przychodzi do klasy żona naszego nauczyciela i mówi znowu, żebyśmy byli spokojni, bo pali się daleko, dopiero na Zagórzu. Widocznie zapomniała, że na Zagórzu mieszkał Matecki, Kulik i Jezierski.

Naturalnie, — Matecki, Kulik i Jezierski w płacz! Na to żona naszego nauczyciela, — że się na pewno pomyliła, bo pali się z pewnością zupełnie gdzie indziej.

Na to jeden, drugi i trzeci — aż wreszcie wszyscy w płacz, że się u każdego pali!!!...

Żona nauczyciela zbladła, sama się prawie rozplakała. Prosiła, byśmy poszli do domów, — nie biec gościńcem, tylko chodnikami.

Wyskoczyliśmy ze szkoły jeden przez drugiego. Po drodze spotkać można było wielu rodziców. My z Irzkiem pędzimy do domu, że to się u nas pali, choć cały tłum ludzi biegł w przeciwną stronę. Mamę spotkaliśmy niedaleko sklepu z niemi.

Szła bez kapelusza, powtarzając: — Ależ ojciec, ojciec...

Paliło się nie na żadnym Zagórzu, a niedaleko rzeki, na ul. Kilińskiego, dom krawca. Czy bardzo się paliło, czy może mniej, nie pamiętam. Widok był wspaniały. Nikogo nie puszczają. Trzeba stać zdaleka. Dym wali pod niebo. Czasem żywy płomień przebija się przez dach, jak nóż. Pod domem błyszczą nowe sikawki, zwykłych beczek dwukołowych nie liczę.

— Ojciec! — krzyknęła nagle mama.

Był tam, był, jak dowódca, — Rzymianin. Dowodził. Właśnie przyskoczył w hełmie do tłumy i kilku ludzi porwał z sobą do sikawek.

— Do pomp! — krzyknąłem i rozplakałem się z radości.

Wodę tryskającą z węża widać było, jak na dłoni. Biła głośno w ścianę.

— Pomyśl, jak się ogień wścieka, — krzyczał Irzek.

Słyszać było naraz chyba tysiąc głosów. Iskry z komina leciały aż na nas. Dopiero później zobaczyliśmy, na trawie leżące poduszki, pościel, łóżka poprzewracane, miednice, samowary, stołki, szafy.

Jakaś krowa tak strasznie ryczała z boku, że nie można było wytrzymać.

Nagle tuż obok nas rozległ się krzyk, że w domu został żywy człowiek i że ten człowiek daje znaki. Ktoś widział machanie chustki, czy też mokrej szmaty, i że nawet ma temi szmatami głowę obwiniętą...

— Nie mówcie tego ludzie, nie mówcie — prosiła mama napróżno.

Jedna kobieta przedarła się przez tłum, dopadła naszego nauczyciela, który wydawał rozkazy. Widzieliśmy, jak potem doskoczyła do ojca. Słyszeliśmy, — dalibyśmy się posiekać „na miejscu“, żeśmy słyszeli, — jak ojciec zawołał: — Kobieto, to nieprawda!

Wówczas przyskoczył do nich Kowalski, wąsy mu sterczały z pod hełmu, niczem różgi. Ojciec do niego, — odprowadzić ją zaraz!

Krzyknęła wniewbogłosy.

Na to ojciec rozwiązał połami surduta i na całe gardło wykrzyknął, żeby wszyscy słyszeli: — Rzecz była sprawdzona!! Ja wam przysięgam, ludzie, tam niema nikogo!!

Po tłumie rozeszło się szemranie, coraz głośniejsze, wreszcie pomruk gniewny i hałas.



Dalszego przebiegu nie było słyhać wyraźnie. Ojciec machał rękami, raz po raz uderzał się w czoło, jak „do warjata“, mały Kowalski przeżył się przed nim, coraz głębiej zasuwając hełm na czoło. Wołali jakichś innych strażaków, Kowalski wciąż ich sobą zasłaniał, ojciec wciąż wymachiwał, potem nagle rozległy się głosy ze wszystkich stron: — Listonosz! Idzie listonosz! Patrzcie ludzie!

Widzieliśmy: — Oblepiony mokremi szmatami wpadł do domu na parter.

Mama zaczęła drzeć, poprostu jak liść. Ojciec stał we drzwiach pożaru, przesłonięty gęstym dymem. Ucichło zupełnie. Słyhać było lanie wody, a ogień strzelał, swobodnie jak pod blachą.

— Jeżeli wam mąż mówił, — wołała mama przez łzy, — jeżeli wam mój mąż mówił, — którego znacie, — że tam niema nikogo?!?

Kowalski ukazywał się kolejno w oknach i dawał tłumowi znak oburącz, że nikogo nie spotyka. Mama za każdym razem powtarzała ze łzami: — Listonosz, Kowalski! Nasz listonosz, Kowalski — nasz listonosz...

Nareszcie wypadł z drzwi prosto w objęcia mego ojca. Pożar ugasili. Okazało się, że straż działa świetnie. Wypadków nieszczęśliwych nie było żadnych, prócz tego, że belka przytłukła magistrackiego bułanka i że na końcu ojciec pokłócił się z panem pocztmistrzem.

Pocztmistrz mówił, że Kowalski wiedział, że wdomu niema nikogo, ostatecznie nikogo nie uratował, a takie popisywanie się, gdy się ma żonę, dzieci i ważny posterunek, nie przystoi rozsądnemu człowiekowi.

Ojciec zaczerwienił się gwałtownie i odpowiedział: — Niech pan wogóle o tem nie mówi. Kowalski wiedział, mimo to poszedł, za co go szanuję jeszcze więcej, jeżeliś pan łaskaw!

Następnego dnia było u nas sprzątanie, listonosz, jak zwykle przyszedł koło jedenastej. Gdy tylko rozległ się dzwonek, mama schwyciła kluczyki, i mimo, że była w białym kaftaniku do sprzątanía, wybiegła do kuchni.

Nie spodziewaliśmy się takich rzeczy: wzięła pana Kowalskiego szybko pod rękę, razem z torbą, w listonoszowskiej czapce, bo nie zdążył zdjąć, wprowadziła do jadalni. Na stole zjawilo się czerwone wino. Napili się przy oknie, mama z naszym listonoszem.

Potem rozłożyła ręce i zawołała: — Wierzyć mi się nie chce, żeby się pan tak spisał!

— Ano cóż, proszę pani prezesowej, — odpowiedział, — w nieszczęściu nigdy nic niewiadomo. Tylko obowiązek wiadomy.

Mama zbladła, spojrzenie jej zalsniło — precudnie!!

— Ach, panie Kowalski, — westchnęła i nagle, choć był przecie starszym od niej, jakby któregoś z nas, jak własnego syna, ze łzami w oczach pogłaskała po siwiejącej głowie.

# *ZABAWA W WOJSKO*





Świetna armja angielska mego starszego brata Irzka powstała właściwie z powodu zapalenia płuc naszej babci. Podczas całej choroby rodzice, żeby nie zasnąć przy czuwaniu, wycinali żołnierzy.

— Jedyna rzecz na złe myśli i zmartwienia — śmiał się potem ojciec.

Gdy nas nareszcie wpuszczono do pokoju chorej, zwróciły moją uwagę dwie sprawy. Pierwsza, — babcia schudła ogromnie. Druga, — to stosy kalendarzy lekarskich, gruby Szekspir z obrazkami i Mickiewicz w twardej oprawie, którzy jako prasa leżeli na arkuszach żołnierzy, podklejonych giętym kartonem.

Pod prasą tą schły zazwyczaj nasze armje, poczem wycinało się poszczególne figury i naklejało na klocki.

Jak każde tak i nasze wojsko było przedewszystkiem wielką fabryką. Trzeba było mieć klej dobrze zrobiony, nie za dużo mąki, nie za dużo wody. Gotowaliśmy go z Irzkiem na kuchni w małych garnuszkach. Czasem przypalał się i stara kucharka Filipina wyganiała nas ścierką do pokoju.

Trzeba było mieć dużo odpowiedniej tektury, nie za grubej, nie za cienkiej. Trzeba było rozporządzać znaczną ilością kalendarzy do prasowania. Aby przyspieszyć robotę, przesiadywaliśmy długie godziny na grubych książkach, pod którymi schły szeregi piechoty, artylerji i konnicy.

— Idziemy się przejść — wołała mama, — to już ostatnie dni słońca, listopad za pasem.

Dotąd, ile razy widzę czarne gałęzie, na przygasłym niebie rozpostarte, słyszę słowa, — listopad za pasem.

— Nie możemy, — odpowiadaliśmy z kancelarji, — bo właśnie prasujemy.

Trzeba było mieć klej, tekturę, piłkę, którą rznęliśmy sosnowe linijki na podstawki, czyli klocki dla naszych bataljonów.

A gdzie artylerja?! Były nią drewniane proce ze skórzaną łatką (siodelko) na gumowej cięciwie. Strzela się papierem bardzo mocno zwiniętym. Środek pocisku spoczywał na siodelku, końce trzymało się w palcach.

Nie wiem, czy to wszystko mówię dość wyraźnie? Czy można jednak o wojnie opowiedzieć dokładnie?! Za dużo rzeczy dzieje się wtedy naraz, by mógł je ktoś dobrze spamiętać! A u nas właśnie po zapaleniu płuc babci za-



niosło się na wielką wojnę wyciętych przez ojca podczas choroby Anglików z różnemi mojemi szczepami.

— Chorobę pokonaliśmy i niema już żadnej obawy, — rzekł pewnego popołudnia ojciec, wyszedłszy z pokoju babci. — A tu masz jeden z drugim.

Irzkowi dał 50-ciu wyciętych doskonale angielskich piechurów, mnie 30-tu konnych Beduinów. Beduini byli chyba sto razy ładniejsi od Anglików. Jechali na rozpędzonych czarnych koniach, mieli na głowach turbany. Okryci byli w białe zawoje. Twarze mieli wszyscy brązowe. Koniom leciał z pod kopyt kurz pustyni.

— A twoi co? — skrzywiłem się do Irzka.

Ustawił Anglików na podłodze czwórkami. Na obciosanych równo klockach trzymali się w kolumnie mocno, jak mur.

— Co twoja głupia piechota?

— Dlaczegoż głupia? — spytał ojciec.

Mieli na głowach białe kaski, przez plecy na czerwonych bluzach białe rzemienie. Karabiny trzymali wszyscy tak samo na ramieniu. Ustawieni czwórkami, wyglądali zdaleka, jak włosem do góry odwrócona szczotka.

— Dlaczego ta piechota jest głupia? — odpowiedziałem ojcu, — no, bo cóż?

Irzek przerwał i zawołał: — Zobaczysz ty tę głupią piechotę!

Rozmawialiśmy o tem na spacerze. Ojciec twierdził, że całe to wydarzenie było ważne, gdyż ja właściwie w imieniu Beduinów wypowiedziałem wojnę Anglikom.

— Obie strony — dodał po chwili, — muszą się do tego przygotować. Ponieważ babcia ma się znacznie lepiej, można będzie o tem poważnie pomyśleć. Więc chodźcie!

Skręciliśmy z drogi, nie nad rzekę i przez most, a prosto ulicą Kopernika.

— Zdaje się, — trącił mnie Irzek, gdy ojciec przystanął, by porozmawiać o chorobie babci z jakimś panem, — zdaje się, że idziemy do Fiszera?

— Niewiadomo — mruknąłem. Nie śmieliśmy myśleć o tak ogromnej radości. U Fiszera w sklepie z zeszytami kupowało się zawsze żołnierzy.

— Tak, drogi panie sędzio — rzekł ojciec panu, z którym rozmawiał. Potem do nas: — Ukłońcie się! Idziemy.

Minęliśmy aptekę, kościół, pomnik Kościuszki i skręciliśmy w lewo.

Dopiero w drzwiach sklepu krzyknęliśmy razem z Irzkiem: — To Fiszer!!

Ojca znali tu wszyscy, nazywając panem konsyljarzem. Nic dziwnego. Na ulicach też kłaniano mu się bardzo chętnie, a aptekarz zdaleka już wołał: — Sługa pana doktora! — Cóż dopiero u Fiszera, który nie miał tak wspaniałego sklepu, jak apteka.

Zaczęliśmy wybierać. Irzek, naturalnie na złość, wybrał sobie dziesięć arkuszy takiej samej piechoty angielskiej. Mnie podobali się biegnący Afgańczycy z kindzałami w zębach. Byli w niebieskich bufiastych portach, czerwonych bluzach i czerwonych turbanach.







Podobali mi się też Indianie z piórami na głowach, baszybożący w zielonych wyszywanych kamizelkach, oprócz tego kawalerja egipska, dwa arkusze Zulusów z dzidami i jeden arkusz Chińczyków.

Zaczęły się przygotowania do wojny, Irzek prasował swą piechotę powoli i dokładnie. Chciał koniecznie, żeby wszyscy Anglicy byli, jak tych pięćdziesięciu, których dostał „na cześć babci“.

Całemi godzinami siedział na górze kalendarzy.

Ponieważ czas bitwy zbliżał się (za dziesięć dni — w niedzielę), więc nie prasowałem tak długo, chcąc wystawić jak najwięcej Beduinów do walki. Rozklejali się trochę, druk odłaził od tektury, ale zato była ich duża gromada.

Irzek wycinał swą piechotę dokładnusięńko, każdy szew, ja moich Zulusów strzygłem, zostawiając po bokach sporo papieru, byle wydążyć jak najwięcej. Irzek piłował sosnowe linijki, przedtem mierzył centymetrem, nie zostawiał zboku jednej drzazgi. Ja „waliłem“ na oko. Za to armje moje, które ojciec nazwał „wojskami dzikich szczepów“, rosły niezmiernie szybko.

— Ilu masz? — spytałem po kolacji.

— Stu pięćdziesięciu.

— A ja przeszło trzystu.

Do pójścia spać robiliśmy kule... Ojciec czytał gazetę, deszcz ze śniegiem pluskał za oknami. Mama siedziała z włóczkową robotą, a my naprzeciw siebie skręcaliśmy pociski. Irzek zaginał papier dokładnie, dziesięć razy przymierzał do procy. Wtedy jeszcze raz powiedziałem mu, że jego Anglicy są głupi.

Ojciec odłożył gazetę i rzekł: — Powinieneś być rycerskim wobec wodza wrogiej armji.

— Ale, jeżeli robi kiepskie kule? — zaśmiałem się triumfująco. — Moje były ogromne. Słabo zwinięte, ale zato olbrzymy.

Ojciec spytał, czy jaka potęga neutralna może obejrzeć nasze przygotowania wojenne. Pozwoliliśmy. Anglicy stali w równych kolumnach, klocek obok klocka, łokieć obok łokcia, jak mur. Ojciec powiedział do nich: — Aha, — i przeszedł na drugi koniec stołu do moich Beduinów. Do Beduinów, Zulusów, Afgańczyków i Egipcjan.

Nie trzymali się twardo, klocki były nierówne. Spojrzawszy na moją amunicję, rzekł: — Dużo, ale może za miękka? I wogóle! Zdaje mi się, że to wszystko robisz nieco za prędko. Tymczasem na wojnie, jak wszędzie, więcej chyba znaczy jakość, niż ilość.

Odpowiedziałem, że na Beduinach i Egipcjanach znam się lepiej. Pracowaliśmy dalej, a ojciec zaczął opowiadać: Gdzie mieszkają Afgańczycy, w jakich górach straszliwych i skalistych. Skąd tu przyjechali Egipcjanie? Z nad Nilu. Nad tą rzeką niebieską stoją wysokie palmy, a w nocy i księżyc osrebrza piramidy. Zulusi hałasują w Afryce, gdzie guma płynie z drzew, jak żywica. Tymczasem Beduini przyzwyczaili się już do piachów swej pustyni Arabskiej. Każdy szczep i lud ma swój kraj i właściwie jest mu tam bardzo dobrze.



Chcieliśmy, by jeszcze o tem opowiadał, gdy ojciec nagle: — Wobec tego wszystkiego możemy zaniechać tej wojny? Możliwy się doskonale ułożyć.

Radził nam dywan w salonie mianować płaszczyzną — Arabją Beduinów. Długi chodnik Nilem, nad którym spokojnie siedzieć będą Egipcjanie. Stolik do kart Brytanię, czyli wyspą dzielnych Anglików.

— Nigdy w życiu, — krzyknęliśmy razem z Irzkiem, — będzie wojna!

— W takim razie, — ojciec się zasmucił, — trudno. Już późno, idźcie spać!

Po dziesięciu dniach nastała wreszcie niedziela wielkiej bitwy. Rano powtórzyliśmy lekcje i zaraz po obiedzie, który dzięki bitwie i Filipinie, idącej na nieszpory, musiał być dziś wcześniej, — zaczęło się.

Gdy Anglicy wychodzili do boju, w imieniu wszystkich moich szczepów śmiałem się i szydziłem. Irzek to samo, gdy z pod stołu i z pod foteli wyłoniła się moja konnica. Gadaliśmy ciągle, obaj — powstał wielki hałas.

— Nie mam nic przeciw temu, — rzekł ojciec, przechodząc przez pokój, — zawsze tak jest przed każdym wielkim wydarzeniem.

Irzek ustawił swą piechotę w trzech kolumnach. Jedną w środku pokoju, dwie po bokach.

Ja wszystkie swoje szczepy rozwinąłem w kilkunastu łańcuchach. Najdzielniejsi Beduini pędzili w pierwszym, potem baszybożucka piechota, Zulusi z dzidami, Egipcjanie. Jeszcze dalej Afgańczycy, Kreteńczycy w białych spodniach i konni Indjanie z tomahawkami w ręku.

Bitwa polegała na tem, że się strzelało z procy dwadzieścia razy. Po strzałach patrzyło się kto miał na danem miejscu więcej strat. Zwycięzca siedł naprzód, mając prawo strzelania zbliżka.

Podczas całej bitwy obie strony mówiły ciągle przeze mnie i przez Irzka o tem, co się dzieje.

— Jest to konieczne — twierdził ojciec, — odpowiada to depeszom z placu boju.

Przed samą bitwą było wielkie trąbienie.

— To też słuszne, — mówił ojciec, — musi tak być, bądź co bądź narody wojujące muszą sobie dodać odwagi.

W ostatniej sekundzie przed bitwą obowiązani byliśmy, już z procami w ręku, do próby pojednania.

— Poddaj się, — krzyknąłem do Irzka, który „na to“ zbladł złowrogo i w odpowiedzi puścił pierwszy pocisk.

Krzycząc „Hurra!“ wymyślając nieprzyjacielowi, dodając w ten sposób swoim odwagi, zaczęliśmy strzelać. Gładkie, dobrze złożone, twarde pociski Anglików okazały się groźne. Beduini z niedobrze wyciętym papierem, baszybożucka piechota na nierównych klockach padała tłumnie ze „strasznym“ szelestem. Moje wielkie pakułowate kule odbijały się od kolumn piechoty angielskiej bezradnie.

Po pierwszych dwudziestu strzałach lewe skrzydło Anglików („Ja dowodzę na lewem!“ — krzyczał Irzek) poszło naprzód. Z moich trzydziestu najlepszych Beduinów zostało czterech, z 50-ciu baszybożuków — dwunastu.

— Anglicy cicho, świetnie, jak jeden mąż, w ciasnej kolumnie, nie nikomu nie mówiąc, — gadał Irzek.

Nie mogłem tego słuchać. Wysunąwszy z pod fotela rezerwę, mówiłem szybko do swoich: — Na to z dzikich puszczy, z nad Nilu, Afganistanu, z Indyj, z Krety krzyknęli razem wszyscy: Bracia, nie dajmy się podłym Anglikom, — naprzód!!! Drżącymi rękami zapełniłem wyrwy wśród szeregów, — nastąpiło nowych dwadzieścia strzałów.

Już padli wszyscy Beduini, Egipcjanie walili się pokotem, twarde kule szorowały przez moje łańcuchy nawskroś. Moje „śmieciaste“ pociski odbijały się od kolumn angielskich, nie im prawie nie szkodząc. Lewe skrzydło wroga posunęło się już znacznie naprzód. Irzek naprzemiany trąbił marsza wojkowego i krzyczał — „Hurra!“

Słowa mi więzły w gardle od łez. Afgańczycy i Kreteńczycy musieli się cofnąć.

— Hurra! — krzyczał Irzek, — niech żyje Anglja!

Ja na to: — Wobec tego dzielni Afgańczycy, widząc, co się dzieje, że im niewygodnie walczyć na nizinie, cofnęli się mężnie ze śmiechem radości!

Po godzinnej walce Irzek strzelał już nieomal w pośrodku moich wojsk. Anglicy mieli straty bardzo małe. Pole walki bieliło się od Kreteńczyków. Szczepy moje stały w małej gromadce, doparte do muru. Łzy kapały mi na fartuch (jako wodzowie wdziewaliśmy fartuchy), ale wciąż jeszcze mówiłem za swoich niedobitków słowa Jagiełły z zadanego wiersza: — „Mam mieczów dosyć, lecz i te się zdadzą na karki dumnych!“

Ojciec czekał cierpliwie w drzwiach na koniec walki. Raz tylko podczas wynoszenia rannych (to znaczy — musieliśmy pójść na podwieczorek) odezwał się do mnie: — Odrazu miałem wrażenie, że to wszystko robione było prędko a nieporządnie. Sama ilość nic nie znaczy. — Teraz milczał, śledząc ze zmarszczonemi brwiami koniec walki.

Anglicy strzelali z tak bliska, że właściwie już prosto w brzuchy Indjanom. Mogłem, albo rozplakać się, albo jako wódz skoczyć na wodza Anglików, to jest Irzka z pięściami, — gdy nagle otwarły się drzwi i ukazała się w nich babcia.

— Jakto?! Mama wstała? A to niespodzianka! — krzyknął ojciec. Poczem zwróciwszy się do nas: — Trudno, moi panowie, trzeba przerwać. Patrzcie, babcia wstała. Największe wojny świata też wkońcu ustępują rodzinnym względom. Niema co!

Równocześnie dał się słyszeć znany szum sukni, — mama z jadalni biegła na przywitanie.





*U KUŚNIERZA*





Choć cieszyliśmy się zawsze na pierwszy śnieg, ślizgawkę, na sanki, czy święta Bożego Narodzenia, zima przychodziła zawsze „dla domu“ za wcześnie i dom przygotowywał się do niej za późno.

— Czy mama ma już węgiel? — pytała nasza mama babci, w październiku, wspaniałym miesiącu opadających kasztanów.

Parę dni później, po obiedzie wyciągnął ojciec z pugilaresu pieniądze, położywszy przy serwecie mamy, nakrył je uroczyście ręką i powiedział: — Proszę cię, tu jest na węgiel i niech już jednego słowa więcej o tem nie słyszę.

Wnet po tych pieniądzach zjawiał się wóz węgla z czarnymi węglarzami, którzy zawsze przyjeżdżali wtedy, gdy było pranie.

Mama schwyciła się za głowę, z okrzykiem: — Boga w sercu nie macie ludzie!

Grubszy, starszy huknął w odpowiedzi, tak głośno, jakby był na bezludnej wyspie: — Wszyscy państwo na ostatnią chwilę. Tylko wóz i wóz. Węglarz też się nie rozerwie!

Po węglu następowało kwaszenie kapusty i przesmażanie niektórych konfitur. Niewiadomo dlaczego, najczęściej burzyły się najlepsze, to jest rajskie jabłuszka.

Później dopiero szło to, o czem mama mówiła, że — przechodzi ludzkie pojęcie: — opatrywanie wszystkich okien i drzwi.

Zjawiały się wtedy w domu niezliczone kilometry pasków „wacianych“, gdzie nigdzie nawet doktorska wata ojca brała udział. Zjawiał się też wtedy najbliższy przyjaciel ówczesnych naszych zabaw, żółty tłusty kit. Zalepialiśmy sobie nim uszy i byliśmy dumni, że nie słyszymy, co się do nas mówi.

Po opatrzeniu okien mama usiadła z babcią w salonie, pod piecem, i gdy obie odpoczęły, zawołała: — Myśli mama, że to koniec? Teraz się dopiero zaczyna! Przecież ja ich muszę na zimę, — tu wskazała na nas, — ubrać od a do z.

Wyrażenie „od a do z“ uważaliśmy za dość niezręczne. Po pierwsze dlatego, że co ma ubieranie do liter; po drugie dlatego, że litery tyczą się alfabetu, który już dawno umieliśmy napamięć i dawno już przestał nam impo-



nować; po trzecie dlatego, że wszelkie ubieranie łączyło się zawsze z przymierzaniem.

Do tej sprawy wmieszał się nawet ojciec. — Mają jeszcze wszystko doskonałe — rzekł: — z zeszłej zimy.

Na to mama: — Więc zobacz, co mają. Wszystko dawno już powyrastane.

Ni stąd, ni zowąd zjawił się przed kanapą cały tobół zimowej odzieży. Z kieszeni ciepłych ubrań przesypywaliśmy „zatajone“ płatki srebrnej naftaliny do specjalnie skręconych tutek papierowych.

— Mówisz, aby mówić, — skarżyła się mama, przymierzając do nas z „zewnątrz“ stare ubrania.

— Zaraz wszystko to sprawdzimy. — Ojciec zatykał ołówek za ucho, ustawiał nas równo piętami do ściany, głową prosto do lakierowanych drzwi, odkreślał wzrost ołówkiem, a mama rozmawiała sobie już dalej bez ojca, jakby w tem wszystkim był zupełnie niepotrzebny.

Postanowiła uszyć nam tego roku zimowe płaszcze. Gotowych, takich, żeby nam mogło być w nich dobrze, nigdzie w mieście nie było.

— Na futra, — mówiła, — nie mam. Ale, jak sama dam watolinę, to będę wiedzieć, co dałam. A rzecz kupiona gotowa, — zawsze wszystko wiatrem podszyte.

Babcia wzruszyła ramionami, że to są już za duże grymasy, mama odrzekła: — Ależ moja mamo, — ojciec na to: — Róbcie sobie co chcecie — i zaczęło się krajanie, szycie i przymierzanie.

Na podłodze leżały skalkowane formy, mnóstwo cienkiego, woskowanego papieru, na który czyhaliśmy oddawna. Następowało krajanie materiału. Dostaliśmy dużo doskonałych skrawków, z których robiliśmy sztandary, mundury dla naszych żołnierzy, a z sztywnej „merli“ znakomite ornaty.

Szycie zmieniało do niepoznaki całą geografję. Dzięki leżącym częściom płaszczy na podłodze, która dla nas była morzem, powstało pasmo „Wysp Sukiennych“. Watolina stanowiła góry lodowe, płynące z szaloną szybkością 150-ciu stopni na godzinę do bieguna. Na góry te wjeżdżały nasze łodzie papierowe i tu, na biegunie, zatykaliśmy, pierwsi Europejczycy, sztandar Polski.

Nieprzyjemne naprawdę było przymierzanie. Trzeba stać bez ruchu w fastrygowanych pierzynach zimowego płaszcza, trzeba trzymać głowę do góry, gdy ciepłe palce mamy spinają na szyi ostrą, szorstką merlę. Trwało to zawsze za długo. Wykręcaliśmy się na różne strony i sposoby, póki nam mama nie obiecała, że za spokojne stanie kupi nam do tych płaszczów prawdziwe futrzane kołnierze u pana Jackowskiego.

Pan Jackowski, — kuśnierz!!

Choć nigdy nie widzieliśmy jego samego, należał wedle nas do najszcześliwszych ludzi w całym mieście. Przechodziliśmy tamtędy codziennie do szkoły. Miał na wystawie prawdziwego wypchanego lwa. Z oczami szklannemi, lecz jak żywemi, z paszczą otwartą, w której, na straszliwych kłach, leżał gruby na różowo pomalowany jęzor.







Jackowski miał lwa, przy wbitym paliku tak samo wypchanego niedźwie-  
dzia i osobno tygrysa. Zatrzymywaliśmy się tam codziennie, patrząc, co któ-  
rego dnia trzymają te zwierzęta na sobie. Zawsze bowiem leżały na nich  
jakieś nowe skóry.

Na pójście do pana Jackowskiego cieszyliśmy się szalenie. Spodziewaliśmy  
się, że uda się nam dotknąć sierści tych dzikich zwierząt. Od tego przecież  
panu Jackowskiemu nie ubędzie?!

— Pamiętaj, — dodał Irzek — na cześć pójścia do Jackowskiego skakaliśmy  
w pokoju na jednej nodze, — lew ma paszczę, a tygrys ma paszczekę. Żebyś  
potem nie zapomniał.

Naturalnie teraz staliśmy do przymierzania doskonale. Wszystko zależało od  
tego, kiedy się nareszcie skończy z płaszczami. Tymczasem mamie powodziło  
się z nimi coraz gorzej.

Babcia mówiła stale, że to jest wogóle przesada, — tyle dzieci chodzi  
w gotowych, że i my możemy.

Mybyśmy też woleli gotowe.

Z watoliny porobiły się garby. Irzkowi na plecach, mnie na brzuchu.  
Fastrygowania i fastrygowania, — bez końca. Przymierzaliśmy prawie codzien-  
nie. Staliśmy coraz niecierpliwiej w tych, jakby watowanych ornatach, mama  
klęczała na podłodze. Widać było, że ogromnie przytem myśli, bo na skronie  
wyskakiwał jej niebieski piorunek żyłki, jak przy muzyce.

Pierwszemu znudziło się Irzkowi. Stojąc w watowanym „przodzie“, cofał  
się nieznacznie wtył. Mama, żeby sobie nie przeszkadzać, posuwała się za  
nim na kolanach. On znowu wtył, mama znowu naprzód, na kolanach, coraz  
prędzej, — wkońcu z westchnieniem: — Jesteś naprawdę złym chłopcem!

Nietylko on, ja robiłem tak samo, póki pewnego razu ojciec nie zobaczył.  
Podniósł brwi i odrazu odechciało się nam wszystkiego.

— Zima minie, — powiedział potem do mamy, a ty wciąż jeszcze bę-  
dziesz niegotowa.

Nie odpowiadała już na to ani ojcu, ani babci, ani nikomu i szła, biegnąc  
— z rękoma po białej fastrydze, po szwie i po powietrzu przed maszyną.

Nareszcie wszystko już było prawie gotowe i nastało południe pójścia do  
kuśnierza.

Wszyscy mieli do niego interes. Ojciec chciał sobie wybrać inną czapkę.  
Mamie mieli dodać skórek do futrzanej peleryny.

My — kołnierze.

Poszliśmy całym domem, padał śnieg.

Gdyśmy przyszli, już się na wystawie p. Jackowskiego świeciło. Tygry-  
sowi zwieszało się z grzbietu aż po pazury niedźwiedzia śliczne futro „ka-  
wowe“. Mama westchnęła, że to napewno bobry. Ojciec odpowiedział, że mu  
to wszystko jedno.

Lew trzymał w paszczy białe futerko. Płynęło mu przez zęby, po różo-  
wym języku, — jak śmietanka z czarnymi przecinkami.



— Już wolę odrazu, — ojciec wskazał laską, — te gronostaje. To jest przynajmniej coś!

Sądząc po lwie, tygrysie i niedźwiedziu, powinienby być u pana Jackowskiego nie wiedzieć jaki krzyk i wrzask. Tymczasem właśnie, — że było cicho.

Wszędzie futra. Wisiały z sufitu, w przegrodach, leżały w długich szufladach, pod sam wierzch, jak wygładzone powidła.

O dotknięciu lwa, tygrysa czy niedźwiedzia, choćby tylko w ogon — mowy być nie mogło. Był zastawiony szybą także od wewnątrz. Przyłożyliśmy do niej nosy i wąchaliśmy.

— Wcale przyjemnie pachną takie zwierzęta, — szepnąłem do Irzka.

Wyśmiał mnie. Nie była to wcale „woń dzikich bestyj“, a poprostu „zapach wypchania“. Irzek twierdził, że „wypchanie“ czuć zawsze otrutemi motylami.

Nie mogliśmy o tem dłużej rozmawiać, zawołano nas do środka sklepu. Światło gazu odbijało się na goluteńkiej głowie pana Jackowskiego, jakby na złożę rozmaitym gęstym futrom, które tu, w drugim pokoju, wisiały ze wszystkich stron. Ponieważ pan Jackowski nie miał włosów, nie mogliśmy poznać, czy jest stary czy młody.

Na mamę i na nas nie zwracał żadnej uwagi. Mówił tylko do ojca. Przyjąwszy chętnie papierosa, rzekł: — Zapewne jakieś futerko dla pana konsyljarza?

Nikt tak, jak ojciec — nie umiał na takie rzeczy odpowiadać. Ojciec zaciągnąwszy się dymem, odpowiedział wesoło: — Ależ nic podobnego!

Zapadła cisza.

Pan Jackowski przymknął oczy, zamyślił się i odwrócił do mamy.

Wy tłumaczyła mu, o co chodzi. O dwie skórki do peleryny, może o czapkę dla ojca, przedewszystkiem zaś o kołnierze dla nas do płaszczy.

Pan Jackowski zaczął od peleryny. Radził mamie pozbyć się starej i wziąć coś całkiem nowego.

Ojciec usiadł przy ladzie i spytał: — Naprzykład co?

Pan Jackowski z początku, jakby zawstydzil się. — Ach, panie doktorze, — westchnął, poczem zaczęło się pokazywanie.

Jak się nazywały te futra, nie pamiętam. Były śliczne. Pomieszana razem jasność i ciemność, — tak lśniły. Rodzice dotykali skórek ostrożnie. Pan Jackowski mrużył oczy i dmuchał do środka, mówiąc: — Ten włos zawsze się rozstąpi jak puch.

Z pokazywania wynikła rozmowa. Rodzice siedzieli cicho, panu Jackowskiemu światło jeździło po łysinie. Opowiadał i jakby odrazu przedziwne zwierzęta zaczęły się kręcić i skradać po całym świecie.

Opowiadał o bobrach kameczackich, wielkich jak konie. O sobolach, białych i niebieskich lisach, białych zającach i gronostajach nad brzegami Leny, na Syberji.

Zapamiętaliśmy odrazu, że gronostaj ma latem włos popielaty, więc się na niego zastawia sidła tylko zimą.

Pan Jackowski musiał bardzo lubić te zwierzęta, bo wszystkie pamiętał. Pamiętał, na przykład, jakiegoś cyweta, który ma na czarnym grzbiecie dokładną lirę białą ze strunami. Syberyjskiego rosomaka. Lubił opossum, nawet nasze lisy krajowe, kózki i barany.

Może zawstydził się trochę przy królikach. — Królik, panie doktorze, — powiedział pan Jackowski, — nigdy nie będzie sobą, zawsze nam służy do wszystkich imitacji...

— Nie mówił pan nic o czincilla? — wtrąciła mama.

Pan Jackowski spowaźniał. — Czincilla — rzekł niskim nabożnym głosem — noszą tylko bardzo, bardzo bogaci ludzie.

Ojciec twierdził, że go „ci państwo“ nie nie obchodzą. Chciał tylko jeszcze może dowiedzieć się, jak się „to wszystko“ odbywa?

To, co pan Jackowski opowiadał o polowaniu na zwierzęta, rozumieliśmy doskonale. Że na foki wyjeżdżają specjalnie flotylle, że na oryginalnego czincilla poluje się w Kordyljerach lub w Andach i że sobole są już prawie wymordowane.

Nie zrozumieliśmy nic, gdy zaczął mówić o fabrykowaniu. Jak się to skóry moczy, na kosach zdiera błony, farbuje, suszy, strzyże, puszcza przez jakieś bębny z trocinami i piachem. Wszystkie farbuje się, nawet najprawdziwsze od niepamiętnych czasów. — Ludzie zawsze gonią za udaniem.

Pan Jackowski uśmiechnął się, dmuchnął na małą skórkę puszystą, i rzekł: — Zrodziła się gdzieś pod biegunem, a teraz leży tu przed nami na ładzie. W takiej jednej skórce ma szanowna pani życia, pracy i śmierci — cały świat.

Potem machnął ręką i dodał: — Zresztą, jak w każdej wykonanej rzeczy.

— To rozumiem, panie Jackowski, — ojciec uderzył się w czoło, — to rozumiem, mądre powiedzenie.

Wybrano nam kołnierze, — jakie?

Skunksowe!

Irzek otoczył sobie zaraz tem futerkiem szyję i zaśmiał się do mamy: — Przymierzaliśmy te „wstrętne“ płaszcze i przymierzali, ale się nam opłaciło!

— Skunksy pochodzą chyba z końca świata, — dodałem i pobiegliśmy z Irzkiem przed lustro.

Mama chciała zobaczyć, jak nam będzie w tych skunksach. Czy „w danym razie“ wystarczą dwie skórki?! Wołała na nas: — Chodźciez tu do mnie na chwilę!

Nie mieliśmy czasu. Irzek z nowem futerkiem na szyi zapomocą poruszania brwiami udawał bobra kameczackiego, ja rozdymałem policzki, powtarzając do samego siebie:

— Opossum, — opossum, — opossum.

Mama zawołała jeszcze parę razy, aż nagle zjawił się przy nas ojciec.

— Mam wrażenie, — rzekł, — że bez płaszczy jako takich nigdyby do kołnierzy nie doszło?



— Naturalnie, — krzyknęliśmy razem.

— No więc?

— No więc, co? — Zadarliśmy z Irzkiem głowy do góry, by wyrozumieć ze spojrzenia ojca, o co mu chodzi.

— No więc, — że się mama tyle naszyła, nafastrygowała, nakłęczała przy was? To już nic nie znaczy?

Podbiegliśmy ku niej, mocno zawstydzeni, wzięliśmy ją prędko za ręce...

Tak właśnie bywa w życiu... Trzeba cały świat oblecieć, przez Kamczatkę, Kordyljery, Andy, by rzecz najprostszą zrozumieć...

Cały świat oblecieć, by pojąć, że najwięcej światła jest najbliżej! Nie w kołnierzu skunksowym, bobrowym, sobolowym, gronostajowym, a w tej fastrydze cieniutkiej, którą ktoś ukochany wszywał w naszą odzież swą miłość.

*BIAŁA NIEDŹWIEDZICA*





Czy próbowałeś kiedy w życiu pisać pamiętnik? Brałem się do tej roboty wiele razy i nigdy mi się dobrze nie udało. Jest to rzecz bardzo trudna. Gdy się nic nie dzieje, zdaje się nam, że niema o czym wspominać, gdy następują ważne wydarzenia, — niema na pisanie czasu.

Tymczasem potem, po latach okazuje się, że codzień działo się coś ważnego, inaczej bowiem z czegożby powstawały na świecie doniosłe wypadki? Nie biorą się z powietrza, tysiąc dni powszednich składa się na jeden dzień wielki, tysiąc małych wydarzeń — na jedno ogromne.

Chciałbym obecnie opowiedzieć ci jedno z takich zdarzeń ogromnych i napotykam przytem na wielkie trudności. Zapomniałem mnóstwo pomniejszych spraw, które poprzedziły to ważne wydarzenie. Trudno, — nie prowadziłem dokładnego, porządnego pisanego pamiętnika.

Na szczęście mogę się innym poratować. Każdy człowiek nosi w sobie samym drugi jeszcze pamiętnik, pamiętnik serca, czyli swoich uczuć. Mniej może dokładny od pisanego, lecz na pewno równie żywy.

Otwórzmy razem jego bezszelestne stronice. Mógłbyś na nich, — gdyby się ta rzecz objawiła literą, czy wyraźnym znakiem, — wyczytać ślady strachu i nienawiści. O tej rzeczy pragnę dziś pomówić, — jak się zaczęła, jak się wreszcie skończyła i jak się oswobodziłem z jej bolesnego ucisku.

Wierzę, że dziś w twoim duchowym pamiętniku znaków strachu niema. Wtedy, przed laty, w moim, — były... Od najwcześniejszych chwil żyła w mem sercu nienawiść!!

Poraziła mnie niespodziewanie, gdyśmy pierwszy raz byli z rodzicami w teatrze na „Kościuszcze pod Racławicami“. Niewiele dziś pamiętam z tej prześlicznej sztuki.

W pierwszym akcie państwo ubrani w kratkę jedli sobie śniadanie. Zaraz w drugim przyjechał Kościuszko na prawdziwym koniu. Przysięgał coś ważnego publiczności, mama płakała, ojciec mówił: — Proszę cię, uspokój się, to nie ma sensu.

W trzecim akcie z wielkim gwizdem i piskiem straszliwym przyszła do wsi rosyjska piechota. Żołnierze ci pili, bili chłopów i śpiewali: — Jeździł, jeździł biały car!



Resztę słów trudno było dosłyszeć.

W następnym akcie Rosjanie walczyli już z naszymi, Polakami. Walka była sroga, szczęściem w ostatniej chwili zjawił się na koniu Kościuszko i krzyknął olbrzymim głosem do kosynierów: — Weźcie mi to dzieci!!!

Od tego czasu ani Irzek, ani ja nie chcieliśmy mieć Rosjan, jako papierowych żołnierzy, mimo, że byli w zielonych mundurach z czerwonymi wyłogami i że nosili śpiczaste czaka na głowach.

Ani piechoty nie chcieliśmy, ani kawalerji — wogóle nic.

Od tego też czasu śpiewaliśmy zawsze, na oznaczenie wrogości — „Jeździł, jeździł biały car“, wymawiając dla większej nienawiści nie „jeździł“, lecz „jeździeł“. A w lecie na spacerach, kto pierwszy zobaczył w rowie, czy gdzieś pod płotem pokrzywy, lub chwasty, miał prawo krzyknąć: — Weźcie mi to dzieci!

Pokrzywy były zawsze Rosjanami, wycinaliśmy je drewnianymi mieczami, za to, że Rosjanie gnębią Polaków.

Potem zjawił się, — nie pisałem pamiętnika, więc trudno mi sobie dokładnie przypomnieć kiedy, — na wystawie w Sukiennicach obraz, z powodu którego powiedział nasz ojciec: — Brawo, Kossak! To rozumiem, cały Kraków trzęsie się w posadach.

Wyrażenia „w posadach“ nie rozumieliśmy.

Poszliśmy oglądać ów obraz w niedzielę. Pamiętam doskonale ten dzień, gdyż ojciec się śpieszył, a nie umiałem wdziać rękawiczek i ciągle dwa palce wpadały mi do jednego nicianego, tak, że ostatni palec rękawiczki zostawał ciągle pusty.

Na ogromnym obrazie, z nożami w zębach, pędzili konno na Polaków Czerkiesi. Jakiś mały chłopak leżał już prawie pod kopytami koni.

— To nic, że go nie znasz — szepnęła mama — wszyscy ludzie stali w milczeniu przed tem płótnem — gdybyś tam był wtedy w Warszawie, mógłbyś tak samo upaść pod te konie. Pomyśl tylko!...

Potem na Boże Narodzenie, dostała mama na gwiazdkę całą teczkę obrazów, bardzo smutnych, gdzie wszystko kończy się tem, że jesteśmy zupełnie pokonani i idziemy na Sybir, w łańcuchach. Stoimy rzędem w mroku, kozak nam wygraża nahajką i psy na nas szczekają z pod słupa.

Plakaliśmy przy tych rysunkach i knuliśmy zemstę nad kozakiem — w jaki sposób go zabić.

A potem — widać stało się coś ważnego w świecie — gdyż ojciec przyniósł świeżo kupioną mapę Europy, na której kraje wyrażone były zapomocą ludzi i zwierząt.

Malutka Polska w rogatywce płakała do białej chusteczki, z jednej strony groził jej Prusak w hełmie, z drugiej Austriak z piórkami strzeleckimi na głowie, z trzeciej sięgała po rogatywkę ogromna niedźwiedzica biała, z czarnym nosem i z czarnymi oczami.

— To Rosja.







Rysunku tego, boleści, jakiej na ten widok doznaliśmy, nigdy nie zapomnę. Układaliśmy długo zemstę z Irzkiem, licząc, ilu i jakich potrafilibyśmy przeciw Rosji wystawić żołnierzy. Coby się działo na takiej wojnie... Jakby kosynierzy ciachnęli kosami, górnicy z Wieliczki oskardami, Sokoli maczugami. Gdyby to wszystko nie pomogło, mogli jeszcze wyskoczyć nasi strażacy z toporami i sikawkami. Wierzyliśmy wtedy, że nasza straż ogniowa jest najlepszą na świecie.

Przy rozmowie tej Irzek tak „wściekle“ zgrzytał zębami, że mu raz poszła krew z dziąsła.

Wtedy także postanowiliśmy, że „za karę“ Wielkiej Niedźwiedzicy na niebie nie będziemy wogóle zaliczać do gwiazd, a biała niedźwiedzica, którą razem z wielbłędami, krokodylami, tygrysami, lwami i całą menażerją dostaliśmy na imieniny, okazała się tego samego dnia podczas turnieju zwierząt — najslabszą.

Pokonał ją z łatwością mały w czarno-białe paski, uśmiechnięty konik, — zebra.

Od tego czasu minęły długie lata i wiele rozmaitych zdarzeń. Z małych powstawały większe, z większych wielkie. Ludzie nie prowadzili napewno porządných pamiętników, bo ani się spostrzegli, jak nagle — nie nasz Kraków wobec obrazu Kossaka, lecz cały świat „zatrząsł się w posadach“.

Wybuchła wielka wojna światowa.

Wszystkie straszne rzeczy, któreśmy w dzieciństwie oglądali tylko na obrazkach — zjawily się naprawdę. Narody wycinały się wzajemnie, jak my wycinaliśmy ongiś pokrzywy w rowach mieczami.

Staliśmy w polu, przeciw tym samym Rosjanom, którymi nie chcieliśmy się bawić w papierzanych żołnierzy. Możemy powiedzieć o sobie, że wybuchaliśmy wszędzie jak ogień. Gdzie stąpnął wróg jeden, drugi, czy trzeci, — tam, jak płomień na torfowisku, — podnosiły się nasze oddziały.

A gdy wolność zakwitła w naszym kraju, jak z gór potoki, z całego świata śpieszyć jęły oddziały te zpowrotem do wspólnej ojczyzny.

Byłem już wtedy oficerem. Rodzice moi nie żyli. Służyłem, w Warszawie, na placu Saskim, skąd kiedyś wychodziły rozkazy rosyjskie, jak pognębić Polskę, żeby płakała na wszystkich „postaciowych“ mapach, jako biedna bezradna panienka.

W tym samym gmachu pewnego zimowego dnia zapełniły się wszystkie okna oficerami i żołnierzami. Ustał trzask maszyn do pisania, a śpieszne dźwięki szabel w korytarzach ucichły.

Wszyscy patrzyli z okien na plac Saski — na szary mur zbiedzonych bataljonów.

Co to za bataljony w takich poszarpanych mundurach, w takich czapczyskach bylejakich, w takich buciarach dziurawych, niedobrych?! I czemuż to nie mają porządných rzemieni, czemu broń noszą na sznurkach?! Czemu komendę mają niby taką, jak my, a przecie napół obcą?!



Bo to są bataljony ochotniczej, polskiej dywizji syberyjskiej, które szły na ten plac całe tysiące mil, przez rzeki, góry, morza i obce części świata. Bo się im przez ten czas mundury poszarpały, czapki śnieg przenicował, buciska się rozlażyły. Każdy rzemień stargany i nawet słowo komendy na wietrze się zmyliło.

Tylko miłości ani woda nie zalała, ani piach pustyni nie zasypał, ani nie rozwiął wiatr.

Już słyhać za zakrętem na ulicy wielkie trąbienie. Przyjechał Wódz Naczelny Józef Piłsudski witać bohaterskich pielgrzymów. Za nim generałowie, — każdy sto wielkich bitew niesie w sercu. Za nim panowie posłowie, ważni oficerowie obcych państw w dziwnych mundurach.

Po szeregach strzelców sybirskich leci śpieszne trąbienie, obija się o mury miasta, płynie nisko, pod zachmurzonym niebem. Za szpalerami wojska od ludności aż czarno.

My żołnierze nie patrzymy na ludność, patrzymy na wodza. On na nas, wszystkie orkiestry grają „Jeszcze Polska“, wszystkie oczy mówią sobie całą prawdę dumy i tęsknoty.

Idzie wódz, generałowie, posłowie, ważni oficerowie.

Do bardzo ważnych nigdy nie należałem — szedłem na końcu świty między pomniejszych.

Chcę ci koniecznie wyznać, com myślał w tej najszcześniejszej chwili. Krok za krokiem, przy dźwiękach hymnu, w obliczu żołnierskiego ordynku, myślałem ciągle o moich rodzicach. Choć już nie żyją, zdało mi się, że gdzieś tu muszą stać pomiędzy tłumem.

Jeszcze dwa, trzy, cztery kroki dalej — i zobaczę ojca pod rękę z mamą, siwych już, uśmiechniętych.

Jeżeli stać będą blisko przy szpalerze — mógłbym się wychylić w stronę tłumy i nieznacznie zawołać: — „Jeździe! jeździe!“.

Mama od razu zrozumiałaby, co to znaczy.

Gdy oto Wódz Naczelny i generałowie, i panowie posłowie, i ważni oficerowie zatrzymali się nagle. Podbiegłem naprzód, stali na skrzydle bataljonu, przed małym, w ziemię wbitym słupkiem, do którego uwiązana była na łańcuchu młoda, biała niedźwiedzica.

Znana, kochana przez żołnierzy, z Murmanu przywieziona, sławna Baśka murmańska. Nic sobie z niczego nie robiąc, rzekłbyś, ubita mocno, żywa kupka śniegu, miotłała się w prawo i w lewo.

Przy słupku stali dwaj żołnierze, których terpała za poły wielkich kożuchów poufale, — jak braci.

Naczelny Wódz wyciągnął do niej rękę.

Jakże piękne było to spotkanie! Naczelny wódz, o brwiach krzaczastych, siwy, naprzód podany orzeł — i biała niedźwiedzica.

Na pewno chętnieby się tu z nią pobawił. Ale nie wypada. Orkiestra gra hymn narodowy, generałowie, ważni oficerowie, panowie posłowie, wszyscy patrzą — nie przystoi.

Ja też żałowałem, że idę tu w świecie. Wolałbym być teraz ludnością. Stać, jako mały chłopiec w tłumie, z rodzicami. Coby powiedzieli na ten widok!?!

Mama odsunęłaby nieznacznie woalkę, a ojciec, pochyliwszy się ku mnie, rzekłby na pewno coś mądrego.

— Widzisz — powiedziałaby — uważaj, teraz Piłsudski uśmiecha się do niedźwiedzicy. Pomyśl tylko, pamiętasz? Pikelhauba — czako austriackie — i biała niedźwiedzica? Patrz! Teraz wyciągnął do niej rękę! Widzisz?! Ludzie wolni nie boją się nikogo. Mogą kochać wszystkich!

Ale rodzice moi już nie żyją. Wódz Naczelny rusza dalej, za nim generałowie, posłowie, ważni oficerowie. Nie umiem tak doskonale pomyśleć, jak mój ojciec, więc tylko, kiedyśmy przechodzili obok, pogłaskałem Baśkę obiema rękami po plecach.

Nie wiem nawet, czy poczuła, tyle miała śniegu w sztywnych kudłach.





## TREŚĆ

	Str.
<i>Nad brzegiem wielkiej rzeki</i>	5
<i>Dokument</i>	9
<i>Cyrk</i>	17
<i>Strażacy</i>	25
<i>Zabawa w wojsko</i>	33
<i>U kuśnierza</i>	41
<i>Biała niedźwiedzica</i>	49

INSTITUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH  
BIBLIOTEKA  
00-333 Warszawa, ul. Nowy Świat, 2  
Tel. 26-68-63























F  
23751